

STEPHEN KING

ZIELONA MILA



Zdarzyło się to w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, kiedy stanowe więzienie wciąż mieściło się w Cold Mountain. I kiedy było tam oczywiście krzesło elektryczne.

Więźniowie żartowali sobie z niego, tak jak zawsze żartuje się z rzeczy, które nas przerażają, ale przed którymi nie sposób uciec. Nazywali je Starą Iskrówą albo Wielką Wyżymaczką. Dowcipkowali na temat wysokich rachunków za energię i o tym, gdzie dyrektor Moores, który miał chorą żonę, usmaży sobie indyka w Święto Dziękczynienia.

Ci jednak, którzy mieli na nim usiąść, bardzo szybko tracili poczucie humoru. Pracując w Cold Mountain, przewodniczyłem siedemdziesięciu ośmiu egzekucjom (tej jednej liczby jestem całkowicie pewien; zapamiętam ją do grobowej deski) i myślę, że do większości skazańców świadomość tego, co się dzieje, docierała dopiero, gdy przywiązywano im kostki do masywnych dębowych nóg Starej Iskrówki. Uprzytamniali sobie wówczas (w ich oczach widać było rodzaj chłodnej konsternacji), że ich własne nogi zakończyły swoją karierę. Wciąż krążyła w nich krew, a mięśnie zachowały siłę, lecz mimo to były bezużyteczne; nigdy już nie miały stąpać po wiejskiej drodze ani zatańczyć z dziewczyną w trakcie oblewania stodoły. Klienci Starej Iskrówki dowiadywali się o swojej śmierci za pośrednictwem nóg. Gdy wypowiedzieli już niezborne i w większości chaotyczne ostatnie słowa, zakładaliśmy im na głowę czarny jedwabny kaptur. Miał zaoszczędzić skazańcom przykrych przeżyć, zawsze jednak podejrzewałem, że tak naprawdę używa

się go ze względu na nas, abyśmy nie widzieli w ich oczach tego strasznego przerażenia, gdy zdawali sobie sprawę, że umrą ze zgiętymi kolanami.

Cele śmierci znajdowały się w Cold Mountain wyłącznie w bloku E, oddalonym nieco od pozostałych czterech i cztery razy od nich mniejszym. Był zbudowany z cegły, nie z desek, i kryty okropnym metalowym dachem, który połyskiwał w letnim słońcu niczym wytrzeszczone oko szaleńca. W środku było sześć cel – trzy po jednej i trzy po drugiej stronie szerokiego korytarza – wszystkie prawie dwa razy większe od cel w innych blokach. I wszystkie pojedyncze. Zakwaterowanie jak na więzienne warunki (zwłaszcza w latach trzydziestych) było wspaniałe, ale lokatorzy chętnie zamieniliby się na którąkolwiek z innych cel. Wiercie mi, na pewno by się zamienili.

W czasie gdy pełniłem funkcję kierownika bloku, ani razu nie mieliśmy zajętych wszystkich sześciu cel – dzięki Bogu i za to. W najgorszym momencie gościliśmy czworo skazanych, czarnych i białych (w Cold Mountain nie istniała segregacja wśród truposzów) i mieliśmy z nimi prawdziwe skarangie boskie. Była wśród nich i kobieta, Beverly McCall, czarna jak as pik i piękna jak grzech, którego nigdy nie miało się odwagi popełnić. Nie miała mężowi za złe, że od sześciu lat regularnie ją tłukł, nie zamierzała mu jednak darować jednego skoku w bok. Dowiedziawszy się, że ją zdradza, zaczęła wieczorem u szczytu schodów prowadzących do ich mieszkania nad zakładem fryzjerskim na nieszczęsnego Lestera McCalla, przez przyjaciół (i zapewne przez swoją nader chwilową kochankę) zwanego Kosiarem, i kiedy zdjął do połowy palto, wypruła z niego flaki. Zrobiła to jedną z osobistych brzytw Kosiara. Na dwa dni przed wyznaczonym terminem egzekucji wezwwała mnie do celi i oznajmiła, że we śnie odwiedził ją afrykański duchowy ojciec. Nakazał jej odrzucić nazwisko nadane w niewoli i umrzeć pod prawdziwym, które brzmiało Matuomi. Takie było jej życzenie: chciała, żeby nakaz egzekucji wystawiono na nazwisko Beverly Matuomi. Rozumiem, że duchowy ojciec nie nadał jej żadnego imienia, w każdym razie żadnego, które zdołałaby pojąć. Zapewniłem ją, że oczywiście, w porządku, jak najbardziej. Długie lata, które spędziłem w roli klawisza, nauczyły mnie, że skazańcowi odmawia się tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne. W przypadku Beverly

Matuomi i tak nie miało to większego znaczenia. Nazajutrz koło trzeciej po południu zadzwonił do nas gubernator i zamienił jej wyrok na dożywocie w Zakładzie Penitencjarnym dla Kobiet w Grassy Valley – same penitencjariuszki i ani jednego penisa, jak mawialiśmy w tamtym czasie. Muszę przyznać, że cieszyłem się, kiedy za biurkiem dyżurnego strażnika okrągły tyłeczek Bev skręcił w lewo zamiast w prawo.

Po trzydziestu pięciu latach – co najmniej trzydziestu pięciu – zobaczyłem jej nekrolog w gazecie, a nad nim fotografię przedstawiającą pociągłą czarną twarz, z chmurą białych włosów i w okularach ze sztucznymi brylancikami po bokach. To była Beverly. Ostatnie dziesięć lat życia spędziła na wolności, napisano w notatce, i praktycznie sama prowadziła niewielką bibliotekę w prowincjonalnym miasteczku Raines Falls. Uczyla również w szkółce niedzielnej i wszyscy bardzo ją lubili. BIBLIOTEKARKA ZMARŁA NA ATAK SERCA, brzmiał tytuł, niżej zaś, jakby po namyśle, dodano mniejszą czcionką: „Spędziła dwadzieścia lat w więzieniu za morderstwo”. Nie zmieniły się tylko jej oczy, szeroko otwarte i płonące za wysadzanymi brylancikami okularami. To były oczy kobiety, która, gdyby okazało się to konieczne, nawet teraz, po siedemdziesiątce, wyjęłaby bez wahania brzytwę z błękitnego słoiczka z płynem dezynfekcyjnym. Morderczynię można poznać zawsze, także wtedy, kiedy osiedla się w małym sennym miasteczku jako bibliotekarka. Można, jeśli ktoś miał styczność z mordercami tak długo jak ja. Tylko raz w życiu zadałem sobie pytanie, co ja tam robię. I to jest chyba powód, dla którego piszę teraz te słowa.

Szeroki korytarz wyłożony był linoleum koloru przejrzałych limonek i dlatego to, co w innych więzieniach zwie się Ostatnią Miłą, my w Cold Mountain nazywaliśmy Miłą Zieloną. Nasza miała od początku do końca około sześćdziesięciu długich kroków i biegła z południa na północ. Na początku znajdowała się izolatka. Na końcu można było skręcić w lewo lub w prawo. Skręt w lewo oznaczał życie – jeśli nazwać życiem to, co działo się na spieczonym słońcem spacerniaku, a wiele osób tak to nazywało; wiele osób spędziło tutaj długie lata i jakoś im to nie zaszkodziło. Złodzieje, podpalacze i maniacy seksualni prowadzili tu swoje rozmowy, chodzili na spacer i ubijali swoje małe interesy.

Skręt na prawo to było coś zupełnie innego. Najpierw wchodziło się do mojego gabinetu (w którym dywan był również zielony, co od daw-

na chciałem zmienić, lecz nie mogłem się jakoś zmobilizować) i miało biurko; po jego lewej stronie znajdowała się flaga amerykańska, a po prawej flaga stanu. Naprzeciwko było dwoje drzwi. Jedne prowadziły do małej ubikacji, z której korzystaliśmy ja oraz inni strażnicy z bloku E (a czasami nawet dyrektor Moores), drugie do czegoś w rodzaju szopy. Tam właśnie kończył swoją drogę ten, kto przeszedł Zieloną Miłą.

Drzwi były niewielkie – przechodząc przez nie, pochylałem głowę, a John Coffey musiał autentycznie przykucnąć i z trudem się przecisnął. Wychodziło się na mały podest, a potem po trzech betonowych schodkach na dół. Pomieszczenie było obskurne i bez ogrzewania, z podłogą z sosnowych desek i metalowym dachem, podobnym do tego, który krył cały blok. W lecie panowała tu nieznosna спеkota, a w zimie taki chłód, że widziało się własny oddech. Podczas egzekucji Elmera Manfreda – było to chyba w lipcu lub sierpniu tysiąc dziewięćset trzydziestego – zemdlało nam dziewięciu świadków.

Lewa strona szopy była stroną życia. Przechowywano tam łopaty i kilofy (umieszczone w specjalnych stojakach i zabezpieczone łańcuchami, niczym karabiny), a także odzież i materiały, worki z nasionami roślin, które sialiśmy na wiosnę w ogródkach, rolki papieru toaletowego, palety z półfabrykatami do więziennego warsztatu ślusarskiego... nawet worki z wapnem do wytyczania boiska baseballowego i futbolo-owego – więźniowie grali na tak zwanym Pastwisku i rozgrywane w jesienne popołudnia mecze były zawsze wielkim wydarzeniem.

Po prawej stronie – ponownie śmierć. Stara Iskrówka stała na drewnianym podwyższeniu w południowo-wschodnim rogu szopy; miała masywne dębowe nogi i szerokie dębowe oparcia, które wchłaniały pot przerażonych skazańców w ostatnich minutach ich życia. Na oparciu z tyłu zawieszony był zwykle metalowy hełm, przypominający czapkę jakiegoś małego wesołego robota z komiksu o Króliku Rogersie. Podłączony do niego kabel znikał w gazobetonowej ścianie za krzesłem. Z boku stało ocynkowane wiadro. Gdyby ktoś miał ochotę do niego zajrzeć, zobaczyłby w środku gąbkę przyciętą tak, aby dokładnie pasowała do metalowego hełmu. Przed egzekucją zanurzano ją w słonej wodzie, żeby lepiej przewodziła ładunek prądu stałego, który płynął przez kabel, przez gąbkę i przez mózg skazanego.

2

Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty drugi był rokiem Johna Coffeya. Szczegóły są w gazetach – może je tam odnaleźć każdy, kogo to interesuje i ma więcej sił od pewnego bardzo starego człowieka, dożywającego swych dni w domu opieki w Georgii. To była gorąca jesień, pamiętam, naprawdę bardzo gorąca: październik nie różnił się prawie od sierpnia, a żona dyrektora, Melinda, trafiła na jakiś czas do szpitala w Indianoli. Przechodziłem wtedy najgorszą w swoim życiu infekcję dróg moczowych, nie aż tak poważną, żebym sam wyładował w szpitalu, ale wystarczająco paskudną, bym pragnął śmierci za każdym razem, gdy szedłem się odlać. To była jesień Eduarda Delacroix, małego łysawego Francuza z myszą, która pojawiła się w lecie i wykonywała tę sprytną sztuczkę ze szpulą. Przede wszystkim jednak była to jesień, kiedy na blok E przybył John Coffey, skazany na śmierć za gwałt i zamordowanie bliźniaczek Dattericków.

Na każdej zmianie mieliśmy czterech albo pięciu strażników, lecz większość z nich nigdy nie zagrzała u nas dłużej miejsca. Dean Stanton, Harry Terwilliger i Brutus Howell (ludzie mówili na niego „Brutał”, ale tylko żartem, bo facet mimo swojej potężnej postury nie skrzywdziłby, gdyby nie musiał, muchy) dzisiaj już nie żyją, podobnie jak Percy Wetmore, który był naprawdę brutalny... a przy tym głupi. Percy nie powinien w ogóle pracować na naszym bloku, gdzie wredny charakter do niczego się nie przydaje i może przysporzyć jedynie kłopotów, był jednak przez swoją żonę spokrewniony z gubernatorem i dlatego został.

To właśnie Percy Wetmore wprowadził Coffeya na blok, zapowiadając go okrzykiem, który rzekomo należał tutaj do tradycji: „Idzie truposz! Idzie do nas truposz!”.

Październik czy nie, wciąż było gorąco jak w piekle. Drzwi na spaceriak otworzyły się i w prostokacie jasnego światła stanął największy facet, jakiego w życiu widziałem, no, może z wyjątkiem kilku koszykarzy, których oglądałem czasem w telewizji w Centrum Rekreacji tego domu dla śliniających się starców, gdzie w końcu wyładowałem. Na rękach i potężnej piersi miał założone łańcuchy, a na nogach kajdany, połączone kolejnym łańcuchem, który brzęczał niczym kaskady monet, sunąc po zielonym linoleum między celami. Z jednej strony eskortował go Percy Wetmore, z drugiej chudy, mały Harry Terwilliger i obaj wyglądali jak dzieci, prowadzące schwytanego w lesie niedźwiedzia. Przy Coffeyu nawet Brutus Howell wyglądał jak dzieciak, a Brutus miał ponad sześć stóp wzrostu i umięśnioną klatkę i przez jakiś czas, póki nie zawałił sesji i nie wrócił do domu w góry, grał jako napastnik w drużynie futbolowej uniwersytetu stanu Luizjana.

John Coffey był czarny, podobnie jak większość mężczyzn, którzy przed śmiercią w objęciach Starej Iskrówki spędzali jakiś czas na bloku E. Miał sześć stóp i osiem cali wzrostu, nie przypominał jednak wcale gibkich koszykarzy z telewizora – miał szerokie bary i olbrzymią klatkę, obudowaną ze wszystkich stron mięśniami. Dali mu największe drelichy, jakie udało się znaleźć w magazynie, lecz mimo to mankiety spodni sięgały połowy jego żyłastych i pokiereszowanych łydek, koszula nie dopinała się na piersi, a rękawy kończyły gdzieś na przedramionach. W wielkiej ręce miętosił czapkę, która też była za mała; na jego ogolonej mahoniowej czaszce przypominałaby cyklistówkę, jaką nosi małpka kataryniarza, z tą różnicą, że była niebieska, nie czerwona. Wydawało się, że może zerwać krępujące go łańcuchy z taką samą łatwością, z jaką zrywa się wstążkę z gwiazdkowego prezentu, ale gdy spojrzaleś mu w twarz, wiedziałeś, że nic takiego się nie zdarzy. Nie malowała się na niej głupota – choć do takiego właśnie wniosku doszedł Percy i zaczął go wkrótce nazywać matolem – lecz zagubienie. Wciąż się rozglądał, jakby chciał odgadnąć, gdzie się znajduje. A może nawet, kim jest. W pierwszej chwili pomyślałem, że wygląda jak czar-

ny Samson... ale po tym, jak Dalila ostrzygła go swoją zdradziecką rączką i pozbawiła całej radości życia.

– Idzie truposz! – powtórzył Percy, ciągnąc za sobą tego niedźwiedzia zakutego w ludzkie kajdanki, tak jakby naprawdę wierzył, że zdołałby go ruszyć z miejsca, gdyby Coffey uznał, że nie pójdzie ani kroku dalej. Harry w ogóle się nie odzywał, ale miał zakłopotaną minę. – Idzie tru...

– Dosyć tego dobrego – przerwałem mu. Siedziałem na pryczy w celi przeznaczonej dla Coffeya. Wiedziałem oczywiście o jego przyjeździe i czekałem, żeby go powitać i zapoznać z regulaminem, lecz aż do tej chwili nie miałem pojęcia, że jest taki wielki. Percy obrzucił mnie spojrzeniem zdradzającym, że wszyscy wiedzą, jaki ze mnie dupek (z wyjątkiem naturalnie tego wielkiego manekina, który wiedział wyłącznie, jak gwałcić i mordować małe dziewczynki), nie odezwał się jednak ani słowem.

Cała trójka stanęła przed otwartymi drzwiami celi, a ja skinąłem głową Harry'emu.

– Na pewno chcesz zostać z nim razem w celi, szefie? – zapytał. Nieczęsto słyszałem niepokój w głosie Harry'ego; był tu razem ze mną podczas buntu przed sześciu albo siedmiu laty i ani razu nie stracił zimnej krwi, nawet kiedy zaczęły krążyć plotki, że niektórzy z więźniów mają broń.

– Czy będę miał z tobą jakieś kłopoty, duży? – zapytałem, siedząc na pryczy i starając się nie pokazywać po sobie bólu: infekcja, o której wspomniałem, nie dokuczała mi jeszcze tak bardzo, ale nie było mi lekko, możecie wierzyć.

Coffey pokręcił powoli głową – w lewo i w prawo – i z powrotem spojrzał na wprost. Kiedy już utkwiał we mnie wzrok, ani na chwilę go nie oderwał. Harry trzymał w dłoni jego papiery.

– Daj mu te dokumenty – powiedziałem. – Włóż mu do ręki.

Harry wykonał polecenie. Olbrzym zacisnął na nich palce niczym lunatyk.

– Teraz ty mi je daj, duży – rozkazałem i Coffey zrobił to, pobrękując łańcuchami. Wchodząc do celi, musiał schylić głowę.

Zerknąłem na formularz, głównie po to, żeby sprawdzić, czy jego wzrost jest udokumentowanym faktem, a nie optyczną iluzją. Był fak-

tem: sześć stóp i osiem cali. Wagę oceniono na dwieście osiemdziesiąt funtów, ale zrobiono to chyba na oko; według mnie musiał mieć co najmniej trzysta dwadzieścia, a może nawet trzysta pięćdziesiąt. W rubryce „blizny i znaki szczególne” stary Magnusson z działu rejestracji wpisał drukowanymi literami tylko jedno słowo: LICZNE.

Podniosłem wzrok. Coffey przesunął się trochę na bok i zobaczyłem, że Harry stoi po drugiej stronie korytarza, obok celi Delacroix, który przed przyjazdem Coffeya był naszym jedynym więźniem. Del był drobnym łysawym mężczyzną o zatroskanej twarzy księgowego, który zdaje sobie sprawę, że wkrótce wyjdą na jaw jego machinacje. Oswojona mysz siedziała mu na ramieniu.

Percy Wetmore zajrzał do celi, którą obejmował właśnie w posiadanie John Coffey. Wyjął już wcześniej z wykonanego na miarę olstra swoją hikorową pałkę i uderzał nią teraz w otwartą dłoń jak ktoś, kto chce się pobawić ulubioną zabawką. Nagle poczułem, że nie mogę znieść dłużej jego obecności. Może sprawił to niezwykle o tej porze roku upał, może infekcja, która paliła mnie żywym ogniem w kroczu i nie pozwalała znieść dotyku flanelowej bielizny, a może świadomość, że egzekucję tego czarnego faceta poprowadzi idiota, który najwyraźniej chciał go najpierw trochę ociosać. Być może sprawiły to wszystkie te trzy rzeczy naraz. Tak czy inaczej zapomniałem na krótką chwilę o politycznych koneksjach Wetmore’a.

– Trzeba pomóc przy przeprowadzce ambulatorium, Percy – powiedziałem.

– Tym zajmuje się Bill Dodge.

– Wiem, że się tym zajmuje – rzuciłem. – Idź mu pomóż.

– To nie należy do moich obowiązków – odparł Percy. – Do moich obowiązków należy pilnowanie tego złamasa. – Słowem „złamas”, które stanowiło skrót określenia „kutas złamany”, Percy zwykł określać dużych mężczyzn. Nie lubił ich. Nie był tak chudy jak Harry Terwilliger, ale natura poskapiła mu wzrostu. Upierdliwy facet, jeden z tych, którzy chętnie wszczynają bójkę, zwłaszcza kiedy wiadomo z góry, że przeciwnik nie ma żadnych szans. W dodatku bardzo czuły na punkcie swoich włosów. Bez przerwy je czesał.

– W takim razie spełniłeś już swój obowiązek – oświadczyłem. – Idź do ambulatorium.

Percy wysunął do przodu dolną wargę. Bill Dodge i jego ludzie dźwigali pudła, pościel, nawet żelazne łóżka; całe ambulatorium przenoszono do nowego drewnianego baraku po zachodniej stronie więzienia. Upał i ciężka fizyczna robota. Percy Wetmore nie lubił ani jednego, ani drugiego.

– Mają tylu ludzi, ile trzeba – mruknął.

– Więc idź tam i udawaj, że jesteś szefem – powiedziałem, podnosząc głos. Zobaczyłem, że Harry się krzywi, ale wcale się tym nie przejąłem. Jeśli gubernator każe dyrektorowi Mooresowi wyrzucić mnie za to, że nacisnąłem na odcisk temu palantowi, kogo wyznaczają na moje miejsce? Wetmore’a? Wolne żarty. – Naprawdę nie obchodzi mnie, co będziesz robił, Percy, pod warunkiem że jakiś czas cię tu nie będzie.

Przez chwilę myślałem, że się zbuntuje i będę musiał się z nim użerać, mając tuż obok siebie Coffeya, który stał przez cały czas bez ruchu niczym największy na świecie zepsuty zegar. Ale Percy wsadził swoją pałkę do olstra – tego głupiego megalomańskiego gadżetu – i ruszył dumnym krokiem do wyjścia. Nie pamiętam, który ze strażników pełnił tego dnia dyżur za biurkiem – pewnie jeden z żółtodziobów, co to nigdy nie zagrzało u nas długo miejsca – ale Percy’emu nie spodobał się chyba wyraz jego twarzy.

– Przestań szczerzyć zęby, gamoniu, bo ci je powybijam – warknął, przechodząc obok niego. Zabrzęczały klucze, korytarz oświetliła na chwilę smuga dziennego światła i Percy Wetmore przynajmniej na jakiś czas dał nam od siebie odpocząć. Mysz Francuza przebiegała z jego jednego ramienia na drugie, poruszając swoimi maleńkimi wąsikami.

– Spokój, Panie Dzwoneczku – szepnęła Delacroix i mysz przystanąła na lewym ramieniu, zupełnie jakby rozumiała, co do niej mówi. – Nie ruszaj się i siedź cicho. – Jego śpiewny luisjański akcent sprawił, że te proste słowa zabrzmiały jakoś egzotycznie, z cudzoziemska.

– Połóż się, Del – powiedziałem. – Odpocznij sobie. Ciebie też nie powinno to interesować.

Delacroix posłuchał mnie. Zgwałcił i zabił młodą dziewczynę, a potem porzucił jej ciało za budynkiem, w którym mieszkała, oblał je naftą i podpalił, wyobrażając sobie naiwnie, że usunie w ten sposób dowody zbrodni. Od ognia zajął się cały dom i w pożarze zginęło sześć

kolejnych osób, w tym dwoje dzieci. Była to jedyna zbrodnia, którą popełnił, i teraz pozostał po prostu łagodnym mężczyzną o zatroskanej twarzy, łysinie na czubku głowy i potarganych włosach zachodzących na kołnierzyk koszuli. Wkrótce miał zasiąść na Starej Iskrówie, a Stara Iskrówka miała położyć kres jego życiu... lecz to coś, co dokonało owej okropnej zbrodni, dawno zniknęło i teraz Delacroix leżał spokojnie na swojej pryczy, pozwalając biegać po sobie swemu małemu popiskującym kompanowi. Na swój sposób to właśnie było najgorsze; Stara Iskrówka nigdy nie wypalała tego, co tkwiło w ich wnętrzu, a środki, które im dzisiaj wstrzykują, nigdy tego nie usypiają. To coś opuszcza ich ciało i przesiada się na kogoś innego, a my zabijamy łupinę, w której nie kołacze się już życie.

– Czy będziesz grzeczny, jeśli pozwolę Harry’emu cię rozkuć? – zapytałem olbrzymia.

Kiwnął głową – w podobny sposób, w jaki nią przedtem pokręcił – w dół, do góry i z powrotem do pozycji na wprost. Ani na chwilę nie odrywał ode mnie swoich dziwnych oczu. Był w nich jakiś spokój, ale niekoniecznie taki, który wzbudzałby bezwarunkowe zaufanie. Dałem znak Harry’emu, który podszedł i rozpiął łańcuchy. Nie okazywał teraz cienia strachu, chociaż klęczał między potężnymi niczym pnie drzew nogami Coffeya, zdejmując kajdany z jego kostek. To rozwiało trochę moje obawy. Harry’ego denerwował Percy, a ja wierzyłem w jego intuicję. Wierzyłem w intuicję wszystkich moich stałych pracowników z wyjątkiem Percy’ego.

Miałem przygotowaną krótką mowę, której wysłuchiwali wszyscy nowo przybyli, wahałem się jednak, czy wygłosić ją Coffeyowi, tak dalece odbiegając od normy, nie tylko z powodu swego wzrostu.

Kiedy Harry się cofnął (Coffey stał nieruchomo podczas całej ceremonii rozkuwania, łagodny jak perszeron), przyjrzałem się swojemu nowemu lokatorowi i postukałem kciukiem w podkładkę do papierów.

– Potrafisz mówić, duży?

– Tak, proszę pana szefa, potrafię mówić – odparł. Miał głęboki, dudniący cicho głos, który przywodził na myśl dopiero co włączony silnik traktora. Nie zaciągał, jak czyni to typowy Południowiec, w jego wymowie były jednak pewne południowe naleciałości, które później zauważyłem. Tak jakby mieszkał na Południu, ale z niego nie pocho-

dził. Nie mówił ani jak analfabeta, ani jak człowiek wykształcony. Jego sposób wysławiania się był, podobnie jak wiele innych rzeczy, kompletną zagadką. Najbardziej niepokoiły mnie jego oczy – widoczny w nich rodzaj spokojnej nieobecności, tak jakby przez większość czasu przebywał zupełnie gdzie indziej.

- Nazywasz się John Coffey.
- Tak, proszę pana szefa, tak jak napój, tylko inaczej się pisze.
- To znaczy, że potrafisz pisać? Pisać i czytać?
- Tylko własne nazwisko, szefie.

Westchnąłem, po czym uraczyłem go krótką wersją swojej mowy. Już wtedy doszedłem do wniosku, że nie będzie sprawiał żadnych kłopotów – w czym jednocześnie się myliłem i miałem rację.

– Nazywam się Paul Edgecombe – oznajmiłem. – Jestem kierownikiem bloku E, naczelnym strażnikiem. Jeśli będziesz ode mnie czegoś chciał, poproś mnie po nazwisku. Jeśli mnie tu nie będzie, poproś tego drugiego strażnika. Nazywa się Harry Terwilliger. Albo pana Stanton lub Howella. Rozumiesz?

Coffey kiwnął głową.

– Nie spodziewaj się, że dostaniesz cokolwiek, na co masz ochotę, dopóki nie uznamy, że rzeczywiście tego potrzebujesz. To nie jest hotel. Jasne?

Ponownie pokiwał głową.

– To spokojne miejsce, duży, niepodobne do reszty więzienia. Mamy tutaj tylko ciebie i Delacroix. Nie będziesz pracował; większość czasu spędzisz po prostu w celi. Dzięki temu będziesz mógł sobie wszystko przemyśleć. – Na myślenie mieli na ogół aż za dużo czasu, ale tego mu nie powiedziałem. – Nieraz, jeśli jest spokój, puszczaamy radio. Lubisz radio?

Pokiwał głową, ale niezbyt pewnie, jakby nie bardzo wiedział, o czym mówię. Odkryłem potem, że tak było rzeczywiście; Coffey poznawał pewne rzeczy, gdy się z nimi ponownie stykał, potem jednak zupełnie o nich zapominał. Znał bohaterów *Our Gal Sunday*, ale nie pamiętał zbyt dobrze, czego dokonali w ostatnim odcinku.

– Jeśli będziesz grzeczny, dostaniesz na czas posiłki, nigdy nie trafisz do izolatki na końcu korytarza ani nie będziesz musiał nosić jednego z tych płóciennych ubranek, które zapinają się z tyłu. Masz dwie go-

dziny na spacer od czwartej do szóstej po południu oprócz sobót, kiedy nasi pozostali pensjonariusze rozgrywają mecz futbolu. Jeśli jest ktoś, kto chce cię odwiedzić, będzie mógł to zrobić w niedzielę po południu. Masz kogoś takiego, Coffey?

Pokręcił głową.

– Nikogo, proszę pana szefa.

– Może odwiedzi cię adwokat?

– Już go chyba nie zobaczę – powiedział. – Dali mi go na kredyt.

Nie wierzę, żeby tłukł się tu do mnie w te góry.

Przyjrzałem mu się baczniej, żeby sprawdzić, czy nie robi sobie przypadkiem żartów, ale nie sprawiał takiego wrażenia. I w gruncie rzeczy wcale się tego nie spodziewałem. Apelacje nie były dla kogoś takiego jak John Coffey; w każdym razie nie w tamtych czasach; tacy jak on mieli swoje pięć minut w sądzie, a potem świat zapominał o nich aż do dnia, kiedy w gazecie ukazywała się mała notatka o tym, że przez takiego to a takiego faceta puszczono trochę prądu koło północy. Kogoś, kto miał żonę, dzieci albo przyjaciół, z którymi chciał się spotkać w niedzielę, łatwiej było trzymać w ryzach, jeśli wydawał się krnąbrny. Coffey nie sprawiał wrażenia krnąbrnego i bardzo mnie to cieszyło, ponieważ był taki cholernie wielki.

Uniosłem się nieco na przyczy, a potem doszedłem do wniosku, że poczuje się chyba lepiej, jeśli wstanę. Kiedy to zrobiłem, Coffey cofnął się z szacunkiem i splótł ręce na brzuchu.

– Możesz mieć tutaj łatwe albo trudne życie, duży, wszystko zależy od ciebie. Możesz również ułatwić życie nam wszystkim, ponieważ w gruncie rzeczy sprowadza się to do tego samego. Będziemy cię traktować tak, jak na to zasłużysz. Masz jakieś pytania?

– Czy po kolacji na korytarzu pali się światło? – zapytał, jakby tylko na to czekał.

Zamrugalem. Nowo przybyli zadawali mnóstwo dziwnych pytań – jednego z nich interesowały rozmiary cycków mojej żony – nikt jednak nie zapytał jeszcze o coś takiego.

Coffey uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem, tak jakby wiedział, że wezmę go za głupka, ale nie mógł się powstrzymać.

– Czasami boję się ciemności – wyjaśnił. – Zwłaszcza w nowym miejscu.

Przyjrzałem mu się – samym jego rozmiarom – i dziwnie mnie ujął. Ci ludzie potrafią wzruszyć; nie widzi się ich w najgorszym momencie, kiedy wykuwają swój horror niczym demony w piekielnej kuźni.

– Tak, pali się – odparłem. – Od dziewiątej wieczór aż do piątej rano na całej Mili świeci się połowa wszystkich żarówek. – Nagle zdałem sobie sprawę, że nie ma najprawdopodobniej błędnego pojęcia, o czym mówię: nie odróżniał Zielonej Mili od błota znad Missisipi. – To znaczy na korytarzu – dodałem.

Coffey pokiwał z ulgą głową. Przez chwilę nie byłem pewien, czy wie, co to jest korytarz, ale widział chyba dwustuwatowe żarówki w drucianych osłonach.

A potem zrobiłem coś, czego nie zrobiłem dotąd wobec żadnego więźnia – podałem mu rękę. Do dzisiaj nie wiem dlaczego. Może dlatego, że zapytał o te światła? Harry Terwilliger zamrugał, tyle tylko wam powiem. Coffey ujął z zadziwiającą delikatnością moją rękę, która w całości zniknęła w jego dłoni, i to było wszystko. Miałem kolejną csemę w butelce. Zrobiliśmy, co do nas należało.

Wyszedłem z celi. Harry zamknął drzwi i przekręcił klucze w obu zamkach. Coffey stał przez kilka chwil w miejscu, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić, a potem usiadł na pryczy, splótł swoje dłonie olbrzymia między kolanami i pochylił głowę jak człowiek, który się modli albo kogoś oplakuje. Później powiedział coś ze swoim dziwnym, prawie południowym akcentem. Nie wiedziałem wówczas, co zrobił – nie trzeba wiedzieć, jaką zbrodnię popełnił człowiek, żeby go żywić i przygotować do momentu, gdy będzie musiał spłacić swój dług – ale słysząc to poczułem, jak przechodzi mnie dreszcz.

– Nie mogłem nic pomóc, szefie – powiedział. – Próbowałem to cofnąć, ale było za późno.

3

– Będziesz miał jeszcze kłopoty z Percym – oznajmił Harry, kiedy wracaliśmy korytarzem do mojego gabinetu.

Dean Stanton, ktoś w rodzaju mojego drugiego zastępcy (oficjalnie nie mieliśmy takiej funkcji – Percy Witmore naprawiłby to niedopatrzenie w mgnieniu oka), siedział przy moim biurku, wpisując dane do akt. Ja sam nigdy nie miałem do tego serca. Nie podniósł nawet wzroku, gdy weszliśmy, wsunął tylko głębiej na nos okulary i wrócił do swojej papierkowej roboty.

– Mam kłopoty z tym dziecięciem, odkąd tu się pojawił – odparłem, ostrożnie odciągając materiał spodni od krocza i krzywiąc się z bólu. – Słyszałeś, co krzyczał, wprowadzając tego wielkoluda na blok?

– Nie mogłem nie słyszeć – powiedział Harry. – Szedłem tuż obok niego.

– Ja siedziałem wtedy w kiblu, ale też dobrze słyszałem – mruknął Dean. Wziął do ręki kartkę papieru, podniósł ją do światła (zobaczyłem, że oprócz napisanego na maszynie tekstu jest na niej ślad po kubku z kawą) i wyrzucił do kosza. – „Idzie truposz”. Musiał to wyczytać w jednym z tych pism, które tak go rajcują.

Prawdopodobnie właśnie tak było. Percy Wetmore okazał się zagorzałym czytelnikiem „Argosy”, „Stag” i „Men’s Adventure”. W każdym numerze była tam, jak się zdaje, jakaś więzienna historyjka i Percy czytał ją z wypiekami na twarzy niczym prowadzący badania naukowiec. Miało się wrażenie, że szuka w życiu jakichś wskazówek i uznał,

że te pisma są najlepszym źródłem informacji. Przyszedł do nas zaraz po tym, jak upieklśmy Anthony'ego Raya, mordercę z toporem, i właściwie nie brał jeszcze udziału w żadnej egzekucji, ale oglądał jedną z nastawni.

– Facet zna wysoko postawionych ludzi – oznajmił Harry. – Ma plecy. Dostanie ci się za to, że wysłałeś go z bloku. I dostanie ci się jeszcze bardziej za to, iż oczekiwałeś, że zrobi raz coś pożytecznego.

– Wcale tego nie oczekiwałem – odparłem. Może i nie oczekiwałem, ale miałem cichą nadzieję. Bill Dodge nie był człowiekiem, który pozwoliłby komuś się opieprzać, podczas gdy inni ciężko harują. – Na razie bardziej mnie interesuje nasz wielkolud. Czy będą z nim jakieś kłopoty?

Harry pokręcił stanowczo głową.

– Podczas rozprawy w hrabstwie Trapingus siedział cicho jak trusia – powiedział Dean. Zdjął z nosa okulary bez oprawek i zaczął je czyścić rąbkiem kamizelki. – Oczywiście miał na sobie więcej łańcuchów niż duch Marleya, kiedy ukazał się Scrooge'owi, ale gdyby chciał, mógł je łatwo spikwiczyć. To był kalambur, synu – dodał.

– Wiem – odparłem, chociaż nie miałem o tym pojęcia. Nie znosiłem, kiedy chciał pokazać, że jest ode mnie mądrzejszy.

– Duży sukinsyn, nie? – zapytał.

– Tak – zgodziłem się. – Piekielnie duży.

– Będziemy musieli przerobić Starą Iskrówę na Superfajerkę, żeby przypiec mu tyłek.

– Nie martw się o Starą Iskrówę – odparłem roztargnionym tonem. – Wielcy faceci robią się na niej tacy malutcy.

Dean pomasaował nos w miejscu, gdzie widniały zaczerwienienia od okularów, i pokiwał głową.

– Zgadza się – mruknął. – Jest w tym wiele racji, nie da się ukryć.

– Czy któryś z was wie, gdzie przebywał, zanim zjawił się w... Tefton? – zapytałem. – To było w Tefton, prawda?

– Tak – potwierdził Dean. – W Tefton, w hrabstwie Trapingus. Nikt nie wie, gdzie przebywał, zanim się tam zjawił i zrobił to, co zrobił. Pewnie szwendał się po całym stanie. Jeśli cię to naprawdę interesuje, możesz znaleźć coś w gazetach w więziennej bibliotece. Nie przeniosą jej w nowe miejsce wcześniej jak w przyszłym tygodniu. Będziesz

mógł posłuchać skarg swojego kumpla, którego zagnałeś do roboty piętro wyżej – dodał, szczerząc zęby.

– Może rzeczywiście tam zajrzę – mruknąłem. Później, po południu, zrobiłem to.

Biblioteka mieściła się na tyłach budynku, w którym miano urządzić więzienny warsztat samochodowy – taki przynajmniej był plan. Moim zdaniem ktoś chciał się na tym nieźle obłowić, ale trwał właśnie Wielki Kryzys i zachowałem swoją opinię dla siebie; podobnie powinienem zrobić w sprawie Percy’ego, ale czasami nie sposób po prostu trzymać gęby zamkniętej na kłódkę. Niewyparzony język przysparza człowiekowi więcej kłopotów, niż kiedykolwiek przysporzył mu kutas. Warsztat samochodowy nigdy zresztą nie powstał – w następnym roku całe więzienie przeniesiono sześćdziesiąt mil dalej, do Brighton. Kolejne pieniądze przeszły z rączki do rączki. Kolejne konfitury. Ale to nie moja sprawa.

Administracja przeprowadziła się już do nowego budynku po wschodniej stronie dziedzińca; teraz przenoszono ambulatorium (kto z tych wiejskich ciołków wpadł w ogóle na pomysł, żeby umieścić je na drugim piętrze, stanowiło kolejną z wielu zagadek, w jakie obfituje życie), a bibliotekę już częściowo spakowano – w gruncie rzeczy nie było tam dużo do pakowania – i stała prawie pusta. Stary budynek miał szalowane ściany i wciśnięty był między bloki A i B. Wychodziły na niego ich łazienki i w całym wnętrzu unosił się niewyraźny zapach moczu, co było prawdopodobnie jedynym rozsądnym powodem przeprowadzki. Pomieszczenie, w którym mieściła się biblioteka, miało kształt litery L i rozmiarami niewiele różniło się od mojego gabinetu. Poszukałem wzrokiem wentylatora, ale wszystkie już zabrano. Musiało tam być ze czterdzieści stopni i siadając, znowu poczułem to gorące pulsowanie w kroczu. Przypominało ćmienie zęba. Wiem, że – zważywszy na to, o jakiej części ciała tu mówimy – może się to wydać absurdem, ale nie potrafiłem tego porównać z niczym innym. Ból był o wiele gorszy podczas oddawania i zaraz po oddaniu moczu, a ja chwilę wcześniej się wysikałem.

Ktoś tam jednak był – kościsty stary więzień o nazwisku Gibbons, który drzemał w kącie, z leżącą na kolanach powieścią z Dzikiego Zachodu i kapeluszem nasuniętym na oczy. Nie przeszkadzał mu ani upał,

ani stękanie, łomoty i powtarzające się co jakiś czas przekleństwa, które dochodziły z ambulatorium piętro wyżej. (Musiało tam być co najmniej dziesięć stopni więcej i miałem nadzieję, że Percy Wetmore dobrze się bawi). Ja też nie przeszkadzałem Gibbonsowi, schowałem się bowiem od razu za rogiem, gdzie trzymano gazety. Obawiałem się, że wbrew temu, co powiedział Dean, zabrano je razem z wentylatorami, ale nie, leżały na swoim miejscu i odszukanie historii bliźniaczek Dettericków nie sprawiło mi większej trudności; pisano o nich na pierwszej stronie od dnia popełnienia zbrodni w czerwcu, aż do procesu, który odbył się na przełomie sierpnia i września.

Wkrótce przestałem zwracać uwagę na skwar, hałasy na górze i astmatyczne chrapanie starego Gibbonsa. Myśl o tych dziewięcioletnich małych dziewczynkach – ich okolonych blond lokami główkach i zalotnych buziach Bobbsey Twins – była w połączeniu z mroczną postacią Coffeya wyjątkowo niemiła, ale nie potrafiłem przed nią uciec. Zważywszy na jego rozmiary, łatwo było wyobrazić sobie, że pożarł je niczym olbrzym z bajki. To, co im rzeczywiście zrobił, było znacznie gorsze, i miał szczęście, że nie zlinczowano go od razu tam, na brzegu rzeki. Oczywiście, jeśli ktoś uzna za szczęście przejście Zielonej Mili i randkę ze Starą Iskrówą.